

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku“

Tłumaczyła: Marya Segeny.

8 — Czy przypomina pan sobie, którego to dnia miało miejsce?

— Na honor, mój kochany panie, nie bardzo... Ale, ale, zaczekaj pan... Tego dnia otrzymałem naboję dynamitową dla kamieniolomów... Zarzę zaraz do ksiąg moich. Każda data transportu jest tam skrupulatnie zapisana. Pan zechce poczekać.

Po chwili naczelnik powrócił i rzekł z przekonaniem:

— Wiem już teraz napewno. To było we wtorek 27 listopada.

Byrd nie mógł powstrzymać westchnienia. Niestety, jego przewidywania sprawdziły się w zupełności. Przeświadczenie to napęliło go dziwnym smutkiem. Widząc jednak, że zapytania jego zaniepokoiły naczelnika stacyi, wytłumaczył mu, że ów młody człowiek wydał się nagle z domu, nie mówiąc, do kąd się udaje, a zrozpaczona rodzina czyniła za nim poszukiwania.

— Będę mógł teraz uspokoić ją cokolwiek — dodał Byrd — Ale zanim pana pożegnaj, pragnę jeszcze coś panu pokazać.

Mówiąc to, wyjął z portfela portret Morgana, narysowany przez siebie i podał go naczelnikowi.

— Czy to ten młody człowiek, którego pan widział tutaj w dniu 27 listopada? — zapytał.

— Tak, tak, napewno! — odparł ten ten bez najmniejszego wahania. — Poznałem go natychmiast.

Burza.

Dwadzieścia cztery godzin ułożyło od rozmowy Byrda z naczelnikiem stacyi w Monteith. Detektyw, dla którego winą Cyryla Morgana była teraz już zupełnie jasną i uzasadnioną, postanowił przedsięwziąć trzecią wycieczkę do lasu. Chciał tym razem wynaleźć ślad, wskazujący, że młody inżynier przeszedł rzeczywiście tak, jak się tego spodziewał, przez dolinę, rozciągającą się za Białym Domkiem.

Dochodząc do West Ridge, spotkał miss Beatryczę Darnell, wychodzącą z willi profesora Darlinga. Byrd bez słowa skłonił się przed nią głęboko, obejmując ją badawczym spojrzeniem. Zauważył, że młoda dziewczyna zmieszała się lekko na jego widok.

Kiedy Byrd opuszczał hotel, udając się na tę wycieczkę, czas był prześliczny. Ostatnie dni jesieni przypominały lato, pełne słońca i ciepła. Ludność ze Sydney, korzystając z tej nadzwyczajnej pogody, gromadnie wylegała na ulice i przedmieścia. Ruch ten ożywiony ułatwiał czynność Byrda. Ale zaledwie wyskoczył z tramwaju, chmury, które już od pewnego czasu przesunęły się po niebie, zaczęły się szybko gromadzić i w chwili, kiedy Byrd wchodził do lasu, zerwał się wichor gwałtowny, zwiastujący nadejście burzy. Co prawda, Byrd, na którym widok miss Darnell wywarł był słabe wrażenie, nie spostrzegł zaraz tej zmiany atmosferycznej. Zaledwie w lesie zauważył ciemną chmurę, przesuwającą się nad drzewami i przysłaniającą blask słońca. Niedługo grube krople deszczu spadać poczęły, a wichor z wściekłością hulał po lesie, wstrząsając wierzchołkami sosen.

— Do diabła! — zaklął Byrd — Teraz znowu deszcz uwił się na mnie! Eul! Nic znowu straszniejszego! To będzie pewno ulewa, która prędko przeminie. Dokąd jestem pod drzewami, nie grozi mi nic złego, a kiedy przybędę na polanę, schronię się do szopy węglarzy.

Przeciągły grzmot zahuczał w oddali. Byrd przyspieszył kroku. W kilka minut doszedł do szopy, ale kiedy już zamierzał wejść do środka, instynkt jakiś nakazał mu się cofnąć. Ogarnęło go nagle przecucie o obecności tam kogoś obcego. Okrążył szopę, żeby przez okienko zajrzeć do środka. Byrd nie mylił się. Rzeczywiście w szopie ktoś się znajdował. Był to mężczyzna. Siedział przy stole, plecami zwrócony do okna, w postawie, wyrażającej wielkie przygnębienie. Po budowie ciała i ciemnych włosach detektyw poznał w nim siostrzeńca pani Clemmens.

Zdumienie ogarnęło Byrda.

— Co mógł tu robić Cyryl Morgan? W jakim celu tu przybył? Czy oczekiwał kogo?

Byrd znalazł się w trudnym położeniu. Jeżeli się pokaże, obudzi nieufność młodego człowieka, który nabierze przekonania, że jest szpiegowanym. A pozostać na deszczu, podczas szalejącej burzy, nie było znowu rzeczą bardzo przyjemną. Tembardziej, że hu-

ragan wzmagał się z każdą chwilą, gęste błyskawice przerywały zaciemnione niebo, a deszcz już strugami przeciekał przez gałęzie drzew. Byrd czuł, że ubranie zaczyna mu już przylegać niemiłe do ciała. Do tego wszystkiego nowe wydarzenie podwoiło stan silnego rozdrażnienia, w które zapadał. Do uszu jego dobiegł szelest kroków, a osoba jakaś, której dojrzeć nie mógł, zdążyła szybko do szopy.

Byrd doczłapał się do rogu ściany, drgając z zmną i ciekawości i zaledwie mógł powstrzymać okrzyk zdumienia. Osobą, biegnącą do szopy, była miss Beatryczę Darnell! Nie zwracając wcale uwagi na wicher i deszcz, zalewający jej twarz i suknię, młoda dziewczyna przystanęła przed drzwiami szopy i popchnęła je silnie.

— Chciałeś się ze mną widzieć. Cyrylu — wy-mówiła pewnym głosem. — Otóż jestem! Co masz mi do powiedzenia?

A więc to była schadzka! Zagłuszając w sobie wszelkie uczucie delikatności, Byrd natężył słuch, aby nie zatracić ani jednego słowa tych dwojga.

Głuchy pomruk grzmotu i świst wiatru były jedyną odpowiedzią na zapytanie miss Darnell.

— Cyrylu! — powtórzyła głośnie, posuwając się na próg szopy. — Czy mnie słyszysz?

Stłumiony jęk wybiegł ze środka.

— Rozumiem, że pragnąłeś tego widzenia — mówiła dalej młoda dziewczyna. — Ja sama również chciałam cię jak najprędzej zobaczyć, choćby dlatego, aby ci wyrazić mój żal, że nie umarliśmy oboje tego nieszczęsnego dnia, w którym tu, na tem samem miejscu, omawialiśmy nasze zamiary na przyszłość.

Oślepiająca błyskawica przerwała jej słowa. Cały las zatrząsł się od wstrząsającego uderzenia piorunu. Olbrzymia gałąź, wyrwana wiatrem, odłamała się od najbliższego drzewa i spadła u samych stóp miss Darnell.

— Sądziłam, że to już koniec wszystkiego! — zawołała zmienionym głosem. — Ale nie! Zbrodnia nie w ten sposób okupioną być musi! Cyrylu, pamiętaj! Zapora nie do zniesienia staje odtąd pomiędzy nami. Ale, pomimo wszystko, nic nie przeszkodzi mi przyjść ci z pomocą, kiedy zajdzie potrzeba. Mów, czego żadasz odemnie?

Głos młodego człowieka zabrzmiał nareszcie, bezdźwięczny i zrozpaczony:

— Powiedz, Beatryczę, powiedz! Jak uciec od wyrzutów sumienia, które mnie udęcają?

Zaległo dosyć długie milczenie. Byrd nie mógł się oprzeć pokusie, by nie wyciągnąć głowy, aby ujrzeć to, co się działo we wnętrzu szopy.

Miss Darnell, w postawie pełnej litości i współczucia, stała o kilka kroków od Cyryla Morgana, siedzącego z twarzą, ukrytą w dłoniach.

— Jest tylko jedna rzecz do uczynienia, Cyrylu — rzekła głosem, nabrzmiałym serdecznością i wzruszeniem. — Należy odpokutować winę, wyznając ją szczerze. Nie trzeba, aby niewinny cierpiał za winę. Jest to, niestety, jedyna rada, jaką ci dać mogę, jedyne wyjście z tej okropnej sytuacji, w którą wtrąciła nas szalona twoja niecierpliwość. Zegnaj cię, Cyrylu! Jeżeli to ma być podniecią do wzbudzenia w tobie poczucia obowiązku, to wiedz, że myśl moją towarzyszyć ci będzie na każdym kroku w wykonaniu tego ciężkiego zadania, które nakreśliła się teraz przed tobą.

Przy tych ostatnich słowach zdawało się Byrdowi, że miss Darnell walczy ze sobą, aby nie położyć ręki na pochylonej głowie, zebrzącej może tej ostatniej pieszczoty, ale odwróciła się nagle, jak gdyby nie chcąc uleść tej pokusie i krokiem pewnym wyszła ze szopy, nie spojrzawszy już poza siebie. Wkrótce wysmukła jej sylwetka zginęła pomiędzy gęstymi drzewami lasu.

Kiedy szelest jej kroków zamarł już pod gąszczami, Byrd ostrożnie i cicho wsunął się do szopy. Młody człowiek siedział nieporuszony w tej samej postawie, ale kiedy detektyw kaszlał dyskretnie, aby go uprzedzić o swojej obecności, nagle ruchem podniósł głowę. Wtedy Byrd o mało nie zemdlał pod wrażeniem zdumienia, które jak grom zważyło się na niego! Człowiek, którego miał przed sobą, nie był tym, którego spodziewał się ujrzeć!...

W szopie.

— Zdaje mi się, że ścigamy jedną i tę samą zwierzynek! — zawołał człowiek, który tak doskonale przejął postać Cyryla Morgana. — Odgadłem już to w Buffalo, wówczas, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem pana!

— Pan Brown!

— Do usług pana! Albo, jeżeli pan woli, Frank Hickory z Nowego Jorku, detektyw i kolega pański. Byrd poznał w nim teraz nieznanego, który

tak zrecznie odkrył identyczność Gordona Hildretha, w dniu pierwszego przesłuchania świadków.

— Zdawało mi się rzeczywiście, że gdzieś już miałem przyjemność widzieć pana — rzekł Byrd, czerwony z rozdrażnienia.

— W takich razach, jeżeli się coś komuś zdaje, mój kochany panie, to należy to zgłębić. S osuję to równie do pana jak i do siebie. Gdybym był pewnym w pensjonacie pani Hart, że pan jesteś kolegą, o którym mi mówiono, że może mi dopomóc w mojej robocie, nie byłbym sobie oczywiście pozwolił na krzyżowanie pańskich planów.

— Faktem jest, że odesłałem pana chętnie kilkakrotnie do wszystkich dyabłów!

— A jednak — dodał Hickory w porywie naiwnej szczerości — miałem wielką ochotę poprowadzić sam tę sprawę! Byłem prawie pewnym wygranej, dzięki tej kombinacji, którą wymyśliłem i którą pan tak niepotrzebnie podpatrzył.

Byrd z trudem powstrzymał się od okazania wstrętu, jakim przejął go niedelikatny proceder Franka Hickorygo.

— Czy nie można było w inny sposób przekonać się o winie pana Morgana? — zapytał surowo. — Nie pomyślał pan nad tem, że ta podstępna komedia będzie powodem cierpienia miss Darnell i zniszczyć może całe jej życie. Przecież pan w ten sposób zdradził przed nią człowieka, którego ona kocha.

Pomimo braku delikatności i bezwzględności, wyrobionej przez kilkoletnie oddawanie się podobnym sprawom, Hickory nie mógł się obronić przed pewnem uczuciem zmieszania i niezadowolnienia.

— Ona o tem nie potrzebuje nigdy wiedzieć — rzekł zachmurzony. — Tak, przyznaję, nie było to bardzo lojalne po tąpienie, ale pan powinien to lepiej od innych rozumieć. W naszym zawodzie nie zawsze przypada nam piękna i szlachetna rola do odegrania. W każdym razie — dodał już z pewnością siebie — wiem teraz, czego się mam trzymać bo chęba jasne jest, kim właściwie jest morderca pani Clemmens.

Byrd zaśmiał się ironicznie, patrząc pogardliwie na swojego kolegę.

— Był pan również dwa dni temu przekonany niezbitcie, że jest nim pan Gordon Hildreth. Cóż z nim teraz pan zamierza uczynić? Ogłosić publicznie jego niewinność, a pańską pomyłkę?

— Zartuje pan, ale jednak ma pan słusność — odparł Hickory, przyjmując pogodnie ironie Byrda. — Głupcy tylko mogą twierdzić stanowczo, że są wolni od pomyłek. Co zaś do mnie, otrzymałem małą kłiek ostrzeżenie, które mi dostatecznie otworzyło oczy.

— Ostrzeżenie?

— Tak jest.

— Czy można je wiedzieć?

— Cierpliwości, mój kochany panie! Musielibyśmy przedtem porozumieć się między sobą. Czy pana zamysłem jest pracować we dwóch, czy samemu?

Byrd nie zastanowił się jeszcze w tym względzie. Zamiast usiąść na ławce, tak, jak go do tego ruchem ręki towarzysza uprzejmie zapraszał, zaczął chodzić wzdłuż i wszerz po szopie.

— Niechże pan usiądzie i porozmawiajmy poważnie — znecierpliwił się Hickory.

— Nie mogę — odparł spokojnie Byrd. — Wdzi pan, że ubranie moje jest przemoczone. Muszę je wysuszyć!

— Panie, w takiej chwili?...

— Myśleć o suszeniu ubrania... to pana dziwi? Ale, widzi pan, ja zawsze lubię dużo myśleć, zanim coś powiem stanowczo. Pozwoli pan...

I, nie zważając na ogłupiałą minę towarzysza, dalej równymi, mierzonymi krokami przebiegał szopę.

— Nie mam wcale ochoty odcierać panu sukcesu z tej, tak sprytnie omyślanej scenki — rzekł wkońcu, stając przed ławką. — Pozatem jest moim obowiązkiem dopomożenie panu do zebrania przeciw oskarżonemu wszelkich dowodów, które uznaję za legalne.

— A więc bierzmy się do dzieła! — zawołał Hickory z widoczną ulgą. — Niech mi pan powie przedewszystkiem, skąd się pan tu wziął, właśnie w tej chwili?

— Doszedłem do konkluzji, że morderca pani Clemmens musiał koniecznie skierować swoją ucieczkę w stronę tego lasu. Przyszedłem więc tu w nadziei napotkania jakich śladów.

— Ale pan musiał już mieć umotywowane powody do podejrzenia Morgana. Co pana na tę drogę naprowadziło?

— Doszedłem do niej rozumowaniem. Ponieważ nie wierzyłem ani przez chwilę w winę Gordona Hildretha, szukałem, badałem, w którą stronę mógłbym rzucić swoje podejrzenia.

— Rozumiem pana. Ale, gdyby na przykład pan przekonał się, że Cyryl Morgan przebywał w tej szopie czas jakiś, do czego byłoby to panu posłużyło?